

## Dom kobiet

Ciekawa jest postulowana przez Olgę Tokarczuk koncepcja ładu politycznego, w którym państwo ma finansować Kongres Kobiet, przyznawać mu budynek (wraz ze stołówką!) oraz gwarantować wpływ na politykę.

Weekend upłynął pod znakiem akcentów kobiecych. Uwagę portali i fotoreporterów przyciągnęła przede wszystkim aktywistka Ostatniego Pokolenia, która przeprowadziła śmiałą akcję na Zamku Królewskim. Na szczęście tym razem obeszło się bez zupy (nawet tak uwielbianego przez Stanisława Augusta rosołu z jarząbków!), a trosce o zasoby wody i walce z wykluczeniem komunikacyjnym można tylko przyklasnąć. Jak wiadomo, p. Tarkowska wykrzyczała swoją odrazę do elit, faszyzmu i suszy przed portretem najsłynniejszego posła województwa nowogrodzkiego, wsławionego tym, że „koszulę z piersi zdarł zupełnie jak w teatrze” – i stanowczo poszła w jego ślady.

Dało to asumpt do komentarzy równie zrozumiałych co, powiedzmy sobie szczerze, przewidywalnych w nieco dziaderskim duchu. Liczni wujowie dobra rada zacierali ręce na myśl o inscenizowaniu przez aktywistki klimatyczne kolejnych wielkich płócien polskiego realizmu: jeśli nie oczywistego w tym kontekście „Szału uniesień”, to bodaj portretów Weissa czy Axentowicza („Wiosna”). Ja, życząc pani Tarkowskiej spokoju duszy, którego zabrakło Reytanowi, mam nadzieję, że Ostatnie Pokolenie wyjdzie poza nieco jednak zakurzony XIX-

wieczny kanon i odwoła się do świetnych dokonań polskiej awangardy. Bardzo ciekaw byłbym, jak aktywiści zainscenizują – by pozostać w kręgu klasyków – „Interwencję” Edwarda Krasińskiego (tę z niebieskim paskiem skocza), „Kompozycję IV” Marii Jaremy czy „Szaloną śpiewaczkę” Teresy Pągowskiej – nie wspominając już o fotogramach Pawła Bownika.

Blask performance’u p. Tarkowskiej przyćmił nieco inne wystąpienie o nierównie jednak większym ciężarze gatunkowym. Myślę tu o wystąpieniu Olgi Tokarczuk podczas sobotnich obrad Kongresu Kobiet. Pisarka nie tylko dała wyraz swojemu rozgoryczeniu („mam prawo być wkurzona, mam prawo być zmęczona”) czy rosnącemu dystansowi do choreografii („mam dość już tego nieustannego tańca”). Sformułowała też równie ważny, co konkretny postulat:

„Żądam (...) – powiedziała pisarka – by Kongres Kobiet stał się porządną, potężną instytucją, która ma swój budynek w Warszawie, swoją bibliotekę, swoją stołówkę, która ma swoje miejsce, gdzie kobiety i mężczyźni pracują nad tym, żeby zrobić coś konkretnego, żeby być cały czas poważnie traktowani, żeby mieć wpływ na politykę”.

Nie była to jedyna polityczna refleksja noblistki: w błyskotliwy sposób, szczególnie stosowny wobec wydarzeń na Ukrainie, wskazała na błahość takiego konstruktów jak granice („Gdy patrzy się przez teleskop Hubble’a na wszechświat (...) spory o państwowe granice na Ziemi naprawdę przestają mieć znaczenie”), wobec lęków, do których przyznała się prof. Środa („Wspólnota – ja się dzisiaj tego słowa boję”)

zaproponowała uruchomienie konkursu na nowy synonim. Nie da się jednak ukryć, że postulat „budyńku dla Kongresu Kobiet” odbił się największym echem.

Przyznać trzeba, że komentatorzy w pierwszej chwili skupili się na zagadnieniach architektonicznych i urbanistycznych. Gdzie miałyby się mieścić taki budynek? Nazwa i kontekst mają znaczenie: z pewnością nie powinien wznosić się na ul. Pokornej ani Wroniej, czy jednak lepszym dlań miejscem byłyby Hoża lub Miła, czy wręcz przeciwnie – Dzika? A może, biorąc pod uwagę radykalizm popieranym przez Kongres demonstrantek z piorunami, dom taki powinien stanąć w Alei Armii Ludowej?

Czy budynek dla Kongresu Kobiet miałyby zostać wzniesiony od zera? Jeśli tak, należałoby oczywiście pomyśleć o projektantce związanej z feministycznym nurtem architektury. Zaha Hadid już niestety nie żyje – ale może Anna Herringer? Denise Brown? Wiadomo jednak, że projekt i budowa od zera wymagałyby czasu i środków. Może stosowniejszym byłoby przyznanie Kongresowi jednego z warszawskich pałaców? I tu jednak pojawiają się problemy: niemal wszystkie z ocalałych lub odbudowanych założeń zostały nazwane od mężczyzn: Brühla, Sapiehów, Bogusławskiego, a nawet, wbrew pozorom, Blanka... Nie byłoby to chyba najstosowniejsi patroni dla siedziby Kongresu Kobiet, jedyne zaś dwa warszawskie pałace o pobrzmiwającej kobieco nazwie to – również mogąca budzić pewne kontrowersje – Królikarnia oraz (i może to jest właściwym kierunkiem?) Pałac Kultury i Nauki.

Są to jednak kwestie, w gruncie rzeczy, drugorzędne wobec najbardziej chyba rewolucyjnego postulatu pisarki: by Kongres Kobiet „miał swój budynek”, był finansowany przez państwo i „miał wpływ na politykę”. I znów, podkreślmy: nie chodzi nawet o szczegółowy kształt formuły prawnej, na mocy której Kongres miałby otrzymać swój budynek (wiedząc, że w skład Rady Programowej Kongresu wchodzi Hanna Gronkiewicz-Waltz jestem oń spokojny), a o samą koncepcję ładu politycznego, w którym państwo finansuje Kongres, przyznaje mu budynek (z biblioteką i stołówką!) oraz gwarantuje wpływ na politykę.

Jak dotąd, Kongres Kobiet wydawał się być bliski formułom przedstawicielskim, w którym wpływ na ład ustrojowy i bieżącą politykę osiągnąć jest w trybie przedstawicielskim. Świadectwem tego jest nie tylko wspieranie kandydatek do Sejmu i Senatu (poparciu Kongresu zawdzięczają swoją karierę tak znane parlamentarzystki jak Iwona Hartwig, Joanna Scheuring-Wielgus czy Katarzyna Ueberhan), lecz i nawiązanie do wzorów anglosaskich, jakim jest powołanie 24 lata temu własnego Gabinetu Cieni: stanowczo zbyt mało uwagi poświęcamy dorobkowi premierki Danuty Huebner, ministrowi polityki migracyjnej (Agata Kobylińska, zawodowo – suicydolożka) czy szefowej resortu sprawiedliwości (oczywiście – prof. Monika Płatek).

I nagle – odwrót? Rezygnacja z, jak to ujęła Olga Tokarczuk, „tańca z polityką”? Zamiast zaś tego – własność ziemiska (municipalna) i nadzieje władz? Widać w tym cień nawiązania do bardzo odległych tradycji: i w rzymskich komicjach centurialnych, i później, posiadanie folwarków i parceli gwarantowało potężne wpływy. Usytuowany w

Pałacu Kultury (i, powiedzmy, z jedną lub dwoma rezydencjami w każdym z województw) Kongres Kobiet mógłby osiągnąć niemałe wpływy.

Sama jednak formuła władz, które przyznają organizacji społecznej finansowanie, budynki i udział (faktyczny lub nominalny) w życiu politycznym kojarzy się z czasami nierównie późniejszymi niż epoka ziemian i fabrykantów. Z czasami, gdy władze hojnie (lecz nie bez stawiania warunków) fundowały liczne Domy Chłopa, Domy Żołnierza, Domy Kolejarza i Domy Literata. I owszem, dlaczego by nie ufundować również wpisanego do konstytucji Domu Kobiet?

Wielokrotnie wypowiadałem się z uznaniem o prozie Olgi Tokarczuk, która z pewnością należy do najważniejszych polskich pisarek współczesnych: ze świetnym warsztatem i wyjątkową zdolnością dostrzegania i prezentowania nowych idei, „ducha czasów”. Ucieszyła mnie bardzo jej złożona na kongresie PEN Clubów deklaracja, że pisze powieść o losach ludzi przesiedlanych na tzw. Ziemię Odzyskane. Widać, jak do tego tematu przymierzają się kolejni eseści i prozaicy – jak poradzi sobie z nim Tokarczuk, podejmująca w dodatku lekko ironiczną grę z arcydziełami literatury europejskiej, jak choćby w „Empuzjonie”.

Nadzieje miałem więc duże. Po sobotnim wystąpieniu obawiam się jednak, że najnowsza powieść noblistki nawiązywać będzie nie tyle do „Czarodziejskiej Góry”, lecz np. do „Numer 16 produkuje” Jana Wilczka (jak wiadomo, akcja powieści toczy się w latach 1946-1948 na Ziemiach Odzyskanych). A może do scenariusza również dziejącej się na Dolnym Śląsku „Rzeczpospolitej Babskiej”?

*Wojciech Stanisławski*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---